Huśtawka — lech

O wiele przedwcześnie dosięgła mnie strzała Amora. Figlarny nicpoń zapewne przypadkiem trafił w niewinne dziecięce serce, które z niezwykłą siłą zabiło w stronę ślicznej dziewczynki o imieniu Bernadeta. Ten cud niebiański, upstrzony w około słodkiej buzi tysięcznym rojem małych jak sprężynki loczków, wzbudził we mnie uczucia sięgające aż do najgłębszych możliwości kochania.

A wszystko wzięło swój początek w miejscu gdzie dzieci bawiły się w piaskownicach i na huśtawkach. Poza parkanem placu zabaw, po drugiej stronie wąskiej uliczki, mieszkała babcia mego anioła. W czasie wakacji, dziewczynka niemal codziennie przychodziła do niej razem ze starszą siostrą.

Dyskretnie przyglądałem się, gdy wchodziły do domu. Serce podchodziło mi pod gardło, czas zwalniał zamieniając się w wieczność, aby za moment przyspieszyć, gdy zjawiały się w bramce ogródka. Niepewne, obserwowały bawiące się dzieci, i gdy była okazja dopadały najbliższą wolną huśtawkę.

Śledziłem je z zachwytem. Zagadkowe emocje zniewalały, paraliżowały, wzbudzały nieznany dotąd dreszcz podniecenia. Stałem się nerwowy i chętny do zwrócenia uwagi dziewczynki na moją osobę. Robiłem głupie miny, wykrzykiwałem wszystko, co mi ślina na język przyniosła, tylko w tym celu, aby od czasu do czasu jej wzrok spoczął na mnie.

Czynione wysiłki przynosiły pożądane skutki, gdyż przy niektórych wygłupach dyskretnym uśmiechem dawała do zrozumienia, że mnie widzi i docenia. Jej siostra, widocznie nie gustowała w takich zalotach, bo z niesmakiem unosiła głowę dając tym gestem wyraz pogardy i dezaprobaty. Ciągnęła młodszą za rękę szepcząc jej coś do ucha. Adorowany przeze mnie anioł, najwyraźniej nie podzielał siostrzanych zastrzeżeń; po krótkiej wymianie nerwowych szeptów, starsza porzuciła młodszą siostrę, wybiegając z miną pełną oburzenia. Mój obiekt uwielbienia pozostał sam, bezradnie siedząc na siodełku huśtawki, na końcu której brakowało kogoś do przeciwwagi. Po krótkiej wewnętrznej walce podszedłem pytając odważnie:

- Chcesz ze mną się pohuśtać?

Zarumieniona, szybko odparła:

- Tak!

Teraz bezkarnie mogłem spoglądać prosto w jej oczy i bezpiecznie do woli, podziwiać zniewalającą urodę.

Miałem zaledwie dziewięć lat, przebywając w pobliżu tej ślicznej jak anioł dziewczynki, nie rozumiałem, co ze mną się dzieje. Cała lawina niezwykłych, nieznanych mi dotąd uczuć, przebiegała przez głowę, paraliżując wszystkie członki mego ciała, przejmując je dreszczem niepokoju i niewytłumaczalnej za czymś tęsknoty.

Dzień w dzień od wczesnego ranka, wyglądałem jej przyjścia. Widząc ją nadchodzącą robiłem się bezsilny, niemal bezkostny, aby następnie doznać uczucia paniki przechodzącej w stan błogiej radości.

Po jej zachowaniu wiedziałem, że ma dla mnie specjalne miejsce. W czasie zabawy starała się być jak najbliżej. Od czasu do czasu czułem delikatne muśnięcie małej rączki. Bawiliśmy się na różne sposoby, tylko w tym jednym celu, aby być blisko siebie. Gdy zabawy ustawały, siadaliśmy razem na ławeczce

prowadząc długie rozmowy. O czym mogliśmy rozmawiać? Jakież to tematy były przez nas poruszane? Dzisiaj trudno tego dociec, ale jednego jestem pewien, że ławeczkę pod jabłonką okupowaliśmy do późnych wieczornych godzin, aż do chwili, gdy usłyszeliśmy brutalne nawoływanie jej mamy:

- Benia! Natychmiast do domu!

Koledzy widząc mój romantyczny zachwyt, szydzili na różne sposoby:

- Co ty, zwariowałeś? Bawisz się z babą cały dzień? No powiedz. Co ty z nią robisz?

Gdy drugi dodawał zgryźliwie:

- Pewnie pokazuje mu co ma... To dlatego tak za nią lata. No, powiedz widziałeś jej cipkę?

Aby ośmieszyć jeszcze bardziej moje przedwczesne romantyczne uczucia; obejmował jeden drugiego i szyderczo, niby to naśladując nasze miłosne uniesienia, udawali, że się całują. Po każdej odegranej scence wykrzykiwali na całe gardło:

- Ach Beniu! Ja cię kocham! Cmok, cmok!

- Och Leszku I ja ciebie kocham! Cmok, cmok!

Kończąc prześmiewczą scenkę, biegli w koło skandując:

- Panna z kawalerem pod siódmym numerem, jak się panna umaluje to kawaler pocałuje!

Z całą złośliwością małych chłopców, wyszydzali moje uczucie. Naprawdę, pierwszy raz w życiu byłem zakochany, czystą dziecięcą miłością, i nie rozumiałem dlaczego wzbudzam u nich tyle uszczypliwości.

Gdy wszyscy w domu spali, cicho wymykałem się, aby następnie pustymi i ciemnymi uliczkami biec pod jej dom, usiąść pod oknami, wyobrażając zatopioną w śnie ukochaną. W ten sposób pragnąłem być trochę bliżej. Prawdę mówiąc; zupełnie nie rozumiałem, dlaczego to wszystko robię. Jednego byłem pewien, że w ten sposób czułem lepiej łączność, niż gdybym pozostał w łóżku smacznie chrapiąc. Nazajutrz, gdy zbliżała się do placu zabaw, serce wędrowało do gardła, dławiąc aż do łez. Nasze dziecięce uczucia wzmacniały się poprzez wspólne zabawy, spacery od jednego końca ulicy, do drugiego jej krańca. A długie rozmowy wiązały w parę przyjaciół, pragnących odkryć przed sobą myśli i wymienić swe dusze.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy zatopieni w rozmowie na owej ławeczce pod jabłonką, śmiejąc się, gawędząc i dzieląc naszymi niewinnymi marzeniami. Zatopieni w błogim gadaniu, nie zauważyliśmy jak do ogrodu wdarła się rozwrzeszczana zgraja starszych chłopaków. Widząc nas stanęli jak wryci. Ten niecodzienny obraz pogrążonych w romantycznym gawędzeniu dzieciaków, zaskoczył ich, prowokując do złośliwych uwag. Otoczyli kołem naśmiewając się, szydząc, obrzucając niewybrednymi docinkami, dawali upust swemu grubiaństwu. W pewnej chwili do przodu wyszedł największy z chłopców. Gromkim przekleństwem uciszył te złośliwie skaczące wokół nas małpy. Przysiadł na brzegu ławki, niby przyjaźnie zapytał:

- A co wy tu dzieciaki po ciemku robicie? Czy to nie pora już spać? Coś mi się zdaje, że wam jeszcze za wcześnie na takie amory.

Uważnie nam się przyjrzał, rozpoznawszy mnie, odkrywczo stwierdził:

- A to ci dopiero heca, Lesiu już chodzi na randki!

Mówiąc to, przysunął się bliżej do struchlałej ze strachu dziewczynki, chcąc pogłaskać, wyciągnął rękę w kierunku jej kręconych włosów. Przerażona próbowała wyrwać się i uciec, ale on przetrzymał brutalnie, i gładząc po głowie zachwycał się urzekającą urodą. Prawił przy tym niezgrabne, sprośne komplementy na temat jej ładnej buzi i tego, jaki to będzie z niej pożytek dla męskiego rodu, gdy tylko trochę podrośnie.

Po policzkach dziewczynki potoczyły się łzy. Widząc to, chłopiec stracił pewność siebie. Pragnąc naprawić niezręczną sytuację, rzekł:

- No przestań beczeć! żadnej krzywdy ci nie zrobię. Dla mnie, to ty jesteś trochę za mała! Ale za kilka lat na pewno będę chciał się z tobą umówić! Na razie, to możesz spotykać się z takimi gówniarzami.

Oburzony do głębi jego arogancją, a szczególnie nazwanie gówniarzem, zdobyłem się na odwagę i z desperacją strąciłem jego rękę z ramienia dziewczynki wykrzykując wojowniczo:

- Zabieraj te swoje brudne łapska! Rozbawiony zuchwałością spojrzał na mnie i zapytał:

- A co, zabronisz mi? A może powiesz, że to jest twoja narzeczona? Co?

- Tak. To jest... - nie miałem śmiałości dokończyć. A teraz, zabieraj pazury!

- A jeśli nie, to, co mi zrobisz dziecinko? Pobijesz!?

Nic nie odpowiedziałem, bo i cóż miałem powiedzieć.

Chłopcy przyglądający się tej scenie ryknęli niepohamowanym śmiechem. Niektórzy dla podkreślenia zabawności mego zbyt dorosłego zachowania, poczęli tarzać się po trawie w konwulsjach histerycznej drwiny. Przewodzący im chłopak podniósł się z ławki i warknął w stronę rozbawionej hałastry:

- Cisza tam! Zamknąć te głupie dzioby! My tu mamy poważną sprawę do załatwienia! Wynoście się! Jazda na ulicę!

Jeszcze raz spojrzał w ich kierunku i zdecydowanym głosem zakomenderował:

- Zbierajcie się! No, co!? Czy mam dwa razy powtarzać!?

Wolno, z lekka ociągając się, jednak ulegle opuścili ogród i stanęli opodal, posłusznie rezygnując z dalszej zabawy i pozostawiając nas samych.

Stał z rękoma w kieszeniach od czasu do czasu spluwając przez zęby, rozmyślał nad tym, co powinien teraz uczynić. W końcu spojrzał w naszą stronę mówiąc:

- No to jak? Jeśli jesteście narzeczeństwem, to zapewne potraficie się też całować. Pocałujcie się! Bo jak nie, to ja będę musiał was tego nauczyć! - Podszedł do przerażonej dziewczynki, objął próbując wymusić pocałunek.

Zerwałem się z miejsca, drżąc ze strachu, emocji i desperacji, rzuciłem się na ratunek. Chłopak odskoczył sprytnie, śmiejąc się z mojej wojowniczej postawy.

- Co ty? Zwariowałeś? Naprawdę chcesz się ze mną bić? Myślisz, żeś ty taki kozak?! Na starszych się porywasz! Przecież ja ciebie w palcach zduszę jak tą gnidę. Chłopie, uspokój się! Chciałem ci pokazać jak być prawdziwym mężczyzną i co się robi z dziewczynami. A ty na mnie z pazurami skaczesz!?

Jędrek - tak nazywał się ów chłopak - zmienił ton i zaczął mówić delikatniej, grzeczniej, jakby usprawiedliwiając się ze swoich zuchwałości.

- Co wy dzieciaki? Ja wam nie chcę zrobić żadnej krzywdy. Ot, po prostu widzę was tu codziennie, gdy wysiadujecie, jak jakaś para zakochanych, to tak sobie pomyślałem, że trochę się z was po zgrywam, i tyle. Ale krzywdy to wam żadnej nie zrobię. A jeśli ona jest twoją dziewczyną, to chyba potraficie się całować? No, co? Umiecie czy nie?

Benia zawstydzona, czerwona po same uszy, udając, że niczego nie rozumie, spuściła głowę, tak jakby chciała się zapaść pod ziemię.

Jędrek dalej kontynuował swoje domorosłe wywody na temat obowiązków narzeczeńskich. W końcu wystrzelił:

- No dzieciaki! Pocałujcie się, i dam wam święty spokój!

Popatrzyliśmy na siebie spode łba, zmieszani tą propozycją, nie wiedząc w jaki sposób zareagować. Ona pierwsza cicho jak myszka pisnęła:

- Ale tylko jeden raz.

Na to on zawyrokował:

- No niech tam będzie, jak sobie chcecie.

Podsunęła się nadstawiając policzek do pocałunku. Zawstydzony do skraju wytrzymałości cmoknąłem ją szybciutko. Myślałem, że w tym samym momencie otworzy się ziemia i pochłonie mnie; czego w owej chwili ze wstydu, życzyłem sobie z całego serca. Jędrek jednak nie dawał za wygraną, nie usatysfakcjonowany naszym pocałunkiem, zawiedzionym głosem zawyrokował:

- E, to nie był prawdziwy pocałunek, prawdziwy, to jest usta w usta.

Ona jakby rozzuchwalona tą pierwszą lekcją, odwróciła się w moją stronę i przez zaciśnięte z emocji gardło wycedziła:

- No... No, dobrze niech tak będzie.

Zamknęła oczy i wyciągając szyję nastawiła się do pocałunku. Przerażony i dziwnie podniecony, przybliżyłem swoje usta. Poczułem dotyk jej warg, delikatną ich miękkość i niewytłumaczalny smak, jakiego nigdy dotąd nie znałem. Zmieszany w popłochu, zerwałem się na równe nogi, nie wiedząc co mam ze sobą począć. Ona również wstała szybko z ławki i pobiegła w stronę furtki. Nie zważając na Jędrka, rzuciłem się w pogoń, ale ona była szybsza, dopadła swego podwórza, zatrzaskując za sobą wysoką

bramkę. Zatrzymałem się przerażony tym co się wydarzyło, a także i myślą, że już nigdy nie zechce się ze mną bawić, że straciłem swoją ukochaną. W moim przekonaniu stało się coś strasznego, czego do końca nie rozumiałem. Zrezygnowany, smutny i bliski płaczu stałem oparty o wysoki płot dzielący mnie od jej domu. Tysiące myśli przebiegało przez głowę, ale żadna z nich nie wiedziała, w jaki sposób odzyskać straconą przyjaciółkę. Stojąc z najgorszymi przeczuciami, usłyszałem po drugiej stronie ogrodzenia, że coś się poruszyło. Niczym błyskawica przeleciała myśl: To ona... To ona tam stoi.

Nieśmiało szeptem zapytałem:

- Benia, to ty? To ty tam jesteś?

W odpowiedzi usłyszałem cichutkie:

- Aha.

- Z radości i wzruszenia coś w gardle mnie ścisnęło, przełknąłem ślinę.

- Benia!

- Co?

- Ja ciebie bardzo przepraszam.

- Za co?

- No, wiesz.

- E, to nic - odparła krótko.

Niepewnym głosem zadałem nieśmiało pytanie:

- Przyjdziesz jutro?

Przytknęła usta do szpary w parkanie i cichutko, uroczyście, odpowiedziała.

- Tak przyjdę.

- I będziesz się zemną bawiła? - upewniałem się.

- Tak.

Nastąpiła długa pauza, nie potrafiłem niczego powiedzieć - byłem taki szczęśliwy. Widocznie zaniepokoiła ją cisza, więc zapytała:

- Jesteś tam?

- Tak jestem!

- To, dlaczego nic nie mówisz?

- Jakoś nie wiem... - odparłem zmieszany.

- Podejdź do bramki - powiedziała zdecydowanym głosem.

Posłusznie poszedłem w jej kierunku. Nagle uchyliła się furtka i mała rączka dotknęła mego ramienia. Dziewczynka nieśmiało szepnęła:

- Wejdź na chwilę.

W jakiejś dziwnej konspiracji, biorąc mnie za rękę pociągnęła za sobą. Trzymając dłoń czułem jej drżenie. Wkoło było ciemno, tylko mdławo-żółte światło ulicznej latarni rozświetlało otaczające nas mroki. Wszyscy już się rozeszli i tylko myśmy zostali, otoczeni dyskretnymi trelami świerszczy. Na twarzy dziewczynki księżyc, przyćmił niebieskawym światłem czerwony rumieniec zawstydzenia. Cichym łamiącym się z emocji szeptem, nieśmiało powiedziała:

- No... Wiesz... Chcę cię o coś zapytać.

- Pytaj.

- Ale nie wiem jak?

- Czy ty też? No... Rozumiesz.

- Tak, rozumiem - odparłem zmieszany.

- Tak, ja... ja... Też cię...

Nie mogłem wykrztusić tego nieokreślonego słowa. Przybliżyła swoją twarz blisko mojej i delikatnie pocałowała w usta, szczerym dziecięcym pocałunkiem.

- Ja ciebie kocham!

Powiedziawszy to wyrwała się z mojej ręki i pobiegła w stronę drzwi domu. Rzuciłem się za nią, zagradzając jej drogę, i prędko wyrzuciłem z siebie:

- Ja... ja... Ciebie też!

Roześmiała się i zwinnie jak wiewiórka, prześlizgnęła się pod moją zagradzającą drogę ręką, wpadła w drzwi, szybko zatrzaskując je za sobą.

Tego wieczoru nie mogłem długo zasnąć, przed moimi oczami przebiegała scena za sceną, słowa przenikały przez siebie potęgując się zwielokrotnionym echem. Doprawdy, nie mogłem pojąć tego co się wydarzyło. Jakie miały znaczenie słowa, które powiedzieliśmy do siebie? W końcu jak piorun przeszyło mnie pytanie: czy wszystko będzie tak jak przedtem? Czy będziemy bawić się ze sobą po tym wyznaniu-...?

Z tymi dręczącymi myślami, zapadłem w nerwowy sen.

Jeszcze dobrze się nie rozbudziłem, gdy usłyszałem dzwonek telefonu. Z drugiego pokoju zawołała sio-

stra:

- Loluś! Narzeczona do ciebie!

Podbiegłem wyrywając jej słuchawkę, a przy okazji próbując wymierzyć kuksańca za ten głupi komentarz. Ale ona jakby spodziewając się tego, zwinnie uciekła z zasięgu mojej ręki.

Trzymałem słuchawkę, nie wiedząc co mam powiedzieć. Oboje byliśmy zamrożeni. W końcu zdobyłem się na odwagę, drżąc ze wzruszenia zapytałem:

- To ty...?

Długa kłopotliwa cisza. Niepewny głosik odpowiedział:

- Tak... To ja...

Ponownie zapadła pełna konsternacji pauza.

- Będziesz w ogródku? - zapytała nieśmiało.

- Tak... Tak, będę - odparłem zdecydowanym pełnym radości i wzruszenia głosem.

Po drugiej stronie, słuchawka telefonu spadła na widełki. Rozmowa została przerwana.

Nie mogłem uwierzyć, to była prawda! Ja już nie biegłem, miałem skrzydła i leciałem do tego ogródka. Wpadłem jak zwariowany, usiadłem na ławce pod jabłonką. Nikogo jeszcze nie było - czekałem - minuty, sekundy, nie, to całe godziny, a może nawet lata. W końcu pojawiła się, przemknęła skrycie, i schowała na swoim podwórku. Siedziałem wyczekując, ale ona nie przychodziła. Podszedłem pod jej płot, jednak poprzez szpary między sztachetami niczego nie mogłem dojrzeć. Wdrapałem się na parkan. Przychwyciwszy się gałęzi rosnącego przy nim drzewa, obserwowałem podwórze mojego anioła. Dojrzałem ją; przykucnęła przy furtce nie mogąc zdecydować się na wyjście. Niezauważony zeskoczyłem z płotu, podszedłem do jej bramki, zastukałem pytając:

- Benia? Jesteś tam?

- Tak! - Odparł cichy, niepewny głosik.

- To dlaczego nie wychodzisz?

- Bo... bo się wstydzę!

- Ja też... Ale wychodź - zachęcałem.

Po dłuższej chwili odpowiedziała:

- Wyjdę, jak przyrzekniesz, że nie będziesz na mnie patrzył.

- Dobrze. Daję słowo honoru - odparłem z powagą.

Uczciwie zamknąłem oczy, informując:

- Możesz wychodzić. Już nic nie widzę...

Furtka skrzypnęła, poczułem jak przeszła obok i pobiegła do ogródka. Stałem jeszcze chwilę dotrzymując danego słowa, aż w końcu zapytałem:

- A teraz już mogę?!

Odkrzyknęła z daleka:

- Tak! Ale nie patrz na mnie!

Otworzyłem oczy - zobaczyłem ją siedzącą na naszej huśtawce, machała do mnie rączką. Czy zapomniała czy już jej nie zależało, abym na nią nie patrzył, najnormalniej w świecie zapytała:

- Pohuśtamy się?

Wskoczyłem z radością na huśtawkę, przeważając moją partnerkę. Spoglądałem w roześmianą buzię otoczoną rojem skręconych loczków, i znów bezkarnie syciłem się pięknem mego anioła. Śmialiśmy się, gdy przetrzymywałem ją w górze, grożąc, że już nigdy nie będzie w dole. Błagała wówczas:

- Proszę opuść mnie do dołu. Bo zobaczysz... Nie będę z tobą się bawiła!

- Nic z tego - odpowiadałem zuchwale - pozostaniesz w górze na zawsze!

- To ja do ciebie się nie odzywam!

Odwracała głowę przyjmując minę obrażonej księżniczki. Ten argument był zbyt mocny, odbijałem się lekko od ziemi i skrzypiąca deska huśtawki wynosiła na wyżyny. Teraz ona próbowała przetrzymać mnie w górze, jednak jej wysiłki na wiele się nie zdały, była zbyt lekka. Po krótkich zmaganiach zabawa zaczynała się od początku. Byliśmy nadal parą szczęśliwych dzieciaków, siedzących na skrzypiącej desce huśtawki, przypasowując się do tego, co miało przyjść, a jeszcze wszystkiego nie rozumiejąc. Jedynie huśtawka dawała nam ukrytą przed naszymi oczyma odpowiedź; raz ja w górze, ona w dole, raz ona w górze, a ja w dole...

Koniec

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

lech, dodano 15.11.2008 12:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.